



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



NA WAKACYACH.

O! jak to błogo, jakże wesoło,
Gdy już się mury wyludnią szkolne
Po długich trudach otarłszy czoło,
Przepędzać na wsi miesiące wolne.
Bo i tu mamy księgę otwartą;
Na łące, w lesie, w polu, na miedzy.
Tu nam przyroda kartę za kartą,
Przesuwa codziennie zasoby wiedzy.
Tu cały urok Bożego świata,
Od mgły porannej i słońca blasku,
Wszystko co biega, pełza i lata,
Mamy przed sobą w żywym obrazku;
Och! a te drzewa, kwiatki prześliczne
Ileż nam ważnych niosą korzyści!
A to powietrze wonne, żywiczne,
Jak pierś rozszerza, krew w żyłach czyści,
Świeć się wsi luba! już nikt nie powie,
Że nam napróżno zleciał czas miły.
Gdy stąd do miasta weźmiemy zdrowie,
Światlejsze myśli i świeże siły.
Minął wakacje zwykłą koleją,
Bo dni rozkoszy prędko uchodzą;
Lecz twe wspomnienia się nie rozwieją,
I przyszłych trudów, gorycz osłodzą.

E. L.

WYSTAWA METALOWA.

Potrzeba publicznych popisów w dziełach sztuki, handlu, przemysłu, wynalazków, wyrodziła się z ciągłej dążności rozwoju i postępu w każdym obranym kierunku pracy.

Pierwszy pomysł wystawy pojawił się we Francji za czasów dyrektoryatu r. 1798 dla podniesienia podupadłej fabryki gobelinów; zawierucha rewolucyjna przeszkodziła wykonaniu planu. Urzeczywistnił go dopiero Napoleon I-szy r. 1801 i 1806 ustanawiając zarazem komitet czyli sąd przysięgłych dla ocenienia pożytku i dobroci okazywanych wynalazków. Przykład ten był przyczyną, że szereg dziesiątek lat następnych zaznaczył się wystawami odbywanymi kolejno w Niemczech, Anglii, Włoszech i w innych krajach europejskich, a pod koniec naszego stulecia okazy zbiorowe płodów i wyrobów krajowych coraz częściej powtarzają się wszędzie. Dowodzi to jak ważnem uznano znaczenie wystaw dla rozwoju sztuk, kunsztów, rolnictwa, handlu i przemysłu. Przemysł stał się też pobudką do urządzenia wystawy metalowej w Warszawie o której wspomnieć zamierzamy.

Zwiedzając ją przekonać się można łatwo jakie postępy uczynił przemysł w naszym kraju. W głównej sali wystawy urządzonej w gmachu cyrkowym, przy ulicy Ordynackiej, pomieszczono wyroby ze złota, srebra, platyny, brązu, żelaza, stali, miedzi, mosiądzu i t. p. W galeryach na dole wystawiono większe okazy; korytarze okrajające cyrk dokoła, przeznaczono na maszyny i różne składowe ich części, a wszędzie nagromadzono przedmioty ciekawiające przychodniów.

Połygliwe, metalowe okazy na tle kolorowych draperyi świetnie odbijają; wodotrysk pośrodku chłodzi i odświeża powietrze, a dźwięki orkiestry uprzyjemniają zwiedzającym spędzone tam chwile.

Maszyny parowe, których wszechstronne zastosowanie stanowi główną zasługę naszego stulecia, ustawiono w korytarzach przy wejściu; są tam sikawki parowe, pompy, maszyny używane do młynów, gorzelni, browarów i wszelkiego rodzaju fabryk, gdzie para i rozum ludzki pracy ręcznej w pomoc przychodzą; obok zaraz mieszczą się odlewy żelazne, antaby, szruby, klanki i t. p. wyroby.

Sala tak zwana kolumnowa pełna świetnych okazów z blachy, stali i innych metalów; tu znajduje się wystawa rur miedzianych, mosiężnych fabryki Norblina, br. Buch i Wernera, owe rury różnej grubości zręcznie w snopy zebrane czynią wrażenie w górę sięgających strzał złotych i srebrnych. Huta bankowa z Dąbrowy górniczej zatrudniająca do 3,000 robotników, złożyła próby żelaza, stali, surowcu, jak nie mniej okazy drutu, blachy, szyn stalowych i tym podobnie ważnych dla przemysłu artykułów. Znana również z działalności swojej fabryka Lilpopa i sp. dostarczyła na wystawę wyroby kowalskie, kotlarskie, a nadto plany, rysunki wielkiego dla techników znaczenia. Świetne w dziale mechanicznym są okazy fabryki Rudzkiego i sp. oraz wielu innych wystawców, których prace nawet wśród nie kompetentnej publiczności podziw muszą wzbudzać.

Widzimy tam piękne kasy ogniotrwałe, z wierzchu wyglądające jak lekkie eleganckie mebelki, a wewnątrz kryją niedostępne pono dla złodziei i dla ognia pancerze i rygle. W sali kolumnowej zwraca uwagę okazałością olbrzymi skarbiec, ważący jak mówią do 40,000 funtów, zewnątrz na pozór zwykłej dużej szafy, w której mieści się owa druga żelazna kasa, zabezpieczająca papiery od spalenia w razie pożaru. Dokoła gdzie spojrzeć wszędzie wabią oko gustowne i zbytkowne meble, sprzęty, statki; ozdobne łóżka, wytworne wanny różnych kształtów, olbrzymie klatki jakby przeznaczone na jakiś osobliwy gatunek zagranicznych ptaków, stoły, biurka, unywalnie, żardinierki, ławki ogrodowe, i t. p.

Okazały dział wystawy stanowi ślusarstwo obejmujące od olbrzymich bram żelaznych, szczytów, wieżyczek, zamków, ekranów, ram, zegarów, świeczników, aż do małych, w cenie

kilkudziesięciu kópiejek, lichtarzy i kałamarzy, wszystko wykończone ze znajomością rysunku i zachowaniem artystycznego smaku. Obok mieszczą się łóżka, ławki, fotele, stoliki, kolebki, wygodne dla chorych a eleganckie dla dzieci wózki, wanny, balie, lodownie, tace, świeczniki, słowem wszystko co do porządku, komfortu i okazałości przydatnem być może.

W głównej rotundzie przy wejściu, widzimy wyroby jubilerskie, w ocenie brylantów nie podjęlibyśmy się rozpoznać prawdziwych od takimże samym ogniem połyskujących ich sztucznych naśladowców. W dalszych witrynach olśniewają blaskiem lustra, kandelabry, serwisy srebrne i platerowane, wytwornego kształtu lampy, brązy, zastawy na biurka, świeczniki i różne brązowe ozdoby. Oryginalnością układu zwrócił uwagę naszą pawilon nożowniczy p. Bienkowskiego, z olbrzymią niby tarczą kulistą, ułożoną z nożyczek, kolejno coraz mniejszych rozmiarów.

Na intencję naszych młodzieńskich czytelników Dodatek, zatrzymaliśmy się dłużej przed witryną z zabawkami dzieciennymi, są tam widywane najwięcej po sklepach przed gwiazdką, z blachy wyrobione, powoziki, omnibusy, wagony, żołnierze malowani, karuzele, zwierzęta, laleczki, welocypedy, biureczka, mebelki i t. p. drobiazgi. Ładne kształtem są maleńkie zabawki cynowe, wystawione w jednej z górnych sal przez fabrykanta zabawek z Naumburgu, te jednak jako zagraniczne stoją poza konkursem i dlatego chyba tylko znalazły tu pomieszczenie, aby zachęcić naszych wystawców do ich naśladowania.

Podobała nam się bardzo już nie dla dzieci, ale dla użytku starszych, kuchnia angielska, tak ładna i kształtna, że możnaby ją jako mebel w pokoju bawialnym postawić, patrząc na nią myśleliśmy o tem, jak kiedyś, przy ciągłym w tym kierunku postępie, nasze młode czytelniczki założysz szary, własną ręką uszyty fartuszek, na takiej eleganckiej kuchence, same bez wielkiego trudu i zachodu obiad dla rodziny swojej gotować będą. Dalej trochę, umieszczone naczynia i wyroby emaliowane, jak rondelki, talerze, kubki, dzbanki, filiżanki do złudzenia naśladowujące porcelanę; wszystko to wzbudzać musi pożądlivość niejednych z naszych pań gospodyń tutejszych.

Uczynimy tylko pobieżną wzmiankę o fortepianach, wszelkiego rodzaju broni, welocypedach, przeróżnych wagach, z których jedna drukuje w mgnieniu oka świadectwo wagi osób zwiedzających wystawę a pragnących się zważyć. Trudno objąć i wyliczyć wszystkie szczegóły bogatej w okazy wystawy, na którą składa się przeszło 250 wystawców. Widząc tu, co wytrwała praca na polu przemysłu zdziałać może, powinniśmy się przejąć myślą, że grzechem jest wyrzucać pieniądze na towary i fraszki zagraniczne, gdy przemysł krajowy tak wysoko rozwinięty, że nawet zbytkowne potrzeby zaspokoić może, a wspierając go, ułatwiamy środki zarobku zdolnych i pracowitych rękodzielników.

P. Gr.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Na widok takiego obszaru wody podróżni wydali okrzyk zdumienia i radości, na jaki może zdobyć się tylko ten, kto przez dwa miesiące przebywał jałowe, gorące stepy, osuszone koryta rzek i nieprzejrzone przestrzenie kołczastego spinifeksu. Nawet wielbłądy dawały poznać beczaniem swe zadowolenie i chciwie wciągały w nozdrza powietrze, nasiąknięte wilgocią.

Co do Hopsa, to ten, napiwszy się do woli, zaczął niezwłocznie uganiać się za kaczkami, które znajdowały się tutaj w wielkiej liczbie; ptaki, za zbliżeniem się ludzi, zerwały się z ogłuszającym krzykiem i trzepotaniem skrzydeł. Jerzy był na tyle przytomnym, że w sam czas wypalił z obu luf swej dubeltówki w sam środek stada; Hops, zadowolony ze sposobności użycia kąpeli, wynosił po kolei na brzeg ofiary zręcznego strzelca.

— A tośmy trafili! — zawołał Abel, zacierając ręce, nareszcie będę się mógł uczciwie umyć! Dawno już do tego wdychałem.

— A ja się wykąpie, — rzekł Jerzy; to będzie dopiero rozkosz zanurzyć się w wodzie po szyję, wypłuskać się jak ryba! Zazdroszczę Hopsowi, że mógł to już uczynić.

— Co do mnie, odezwał się poważnie doktor, chciałbym przede wszystkim wyprać moją bieliznę, która niestety jest bardzo brudna...

Tom i Bob szli właśnie pieszo, więc, nie tracąc czasu, uraczyli się zimną i czystą wodą; pili tak chciwie, że aż Dugan musiał ich ostrzedz, że mogą zachorować.

W mgnieniu oka karawana rozłożyła się obozem nad „dziurą wodną”, paki i worki ułożono w cieniu gęstego krzewu, rozpalono ogień z suchych gałęzi, których nie brakło, a skoro wielbłądy ochłodziły nieco, napojono je do syta.

Abel i Jerzy, pozostawiawszy staremu poszukiwaczowi złota trudy około przygotowania wieczery, rzucili spiesźnie odzież, przesiąkniętą pyłem i zanurzyli się rozkosznie w chłodnej wodzie; *) doktor zaś, odkładając na potem kąpiel, zabrał się do przywrócenia swej bieliznie pożądanej czystości. Ku wielkiemu zdziwieniu Jerzego, szanowny entomolog bardzo dobrze odgrywał rolę praczeki. Znalazłszy duży, płaski kamień, użył go zamiast balii, a rączka od łopaty zastąpiła mu wybornie kijankę. Ta pospolita czynność tak jakoś nie odpowiadała fizyonomii i powadze uczonego, że jego towarzysze wybuchnęli wesołym śmiechem.

Halm nie zmieszany, pracował dalej usilnie i niebawem wyprana pięknie bielizna schła już, rozwieszona na karłowatych krzewach lnu nowozelandzkiego, rosnącego nad wodą.

Z kolei Dugan i Niemiec orzeźwili się kąpielą, poczem wszyscy, zajmawszy miejsca dokoła ogniska, patrzyli, jak stary Bob piekł na stemplu od fuzyi cztery tłuste kaczki. Tom, uważając, że oszczędność jest w tym razie zbyteczną, oskubał drugie tyle i założył je na drugi rożen; wieczera zapowiadała się tedy wspaniale.

— Odkryliśmy jakąś ziemię obiecaną! — zawołał Jerzy, bawiąc się z Hopsiem; — chętnie pozostałbym tutaj przez kilka dni.

— Tak też uczynimy — odparł Dugan; — podróż przez diuny wyczerpała bardzo siły naszych wielbłądów, trzeba im dać dłuższy wypoczynek, żeby przyszły do siebie, i nam się to należy, tembardziej, że czekają nas jeszcze uciążliwe i długie marsze.

— Oh, jak to dobrze! — zawołał chłopiec, klaszcząc w dłonie, — będę się kąpał trzy razy dziennie i strzelał do kaczek! Doktor zaś nachwyta tutaj mnóstwo owadów, jakich jeszcze świat nie widział.

Słońce zachodziło właśnie poza diunami, kładąc ogniste blaski na żółtawo-pomarańczowych piaskach pustyni, gdy Bob oznajmił uroczysto, że kaczki się upiekły. Kąpiel, i świeża woda, zaostrzyły niesłychanie apetyt członkom wyprawy, przypuszczono więc prawdziwy szturm do pieczystego.

— Jestto manna australska, którą nam zesłała Opatrzność na puszczy, tak jak ongi izraelitom w ich podróży do ziemi obiecaniej, — rzekł Jerzy, kładąc swą kaczkę na świeżych liściach.

— Tylko nasza manna, jak przypuszczam, lepiej smakuje, — wtrącił Abel.

— W istocie, w domu nawet nie jadłem nic tak doskonałego, — wybełkotał Halm, z zębami utkwionymi w skrzydełku kaczki; szkoda, że nie codzień napotykamy podobne oazy.

— Oho, stajesz się bardzo wymagającym, mój doktorze! — zawołał wesoło Dugan; — w takim razie podróż nasza niebyłaby wcale trudnem przedsięwzięciem.

— Ach, żeby już raz dostać się do owych kopalni, — westchnął Tom; — przyznam się, że włóczęga po skrubach, spinifeksach i diunach oddawna mi bokiem wylazła!

— O jakich kopalniach mówisz? — zagadnął pan Artur.

— Jakto? przecie panicz opowiadał mi, że tamci odkryli gdzieś w środku samym pustyni placery złota.

— Tak przypuszczamy, lecz, trzeba ci wiedzieć, że celem naszej wyprawy nie jest eksploatacja min złota, ani kopalni drogiego kamieni, lecz robienie odkryć naukowych.

— Słyszałem już o tem, ale przecie nie zaszkodzi przy sposobności nabrać kilkaset funtów złotego piasku; jużbym się zgodził za to iść piechotą od samej kopalni aż do Little Downs.

— I ja, — dorzucił stary Bob; — byłoby grzechem nie korzystać ze szczęścia, które sam Pan Bóg zsyła na człowieka.

— No, no, jeszcze daleko do owych kopalni; — zdaje mi się nawet, że one wcale nie istnieją, więc niema o czem mówić.

— A przecie w tym papierze wyraźnie o tem pisze.

— Właśnie, nieboszczyk przestrzega, abyśmy nie poszli za przykładem jego towarzyszy; w przeciwnym razie wróży zły koniec; zresztą, powiadam raz jeszcze, że wyprawa ma zupełnie inne cele, aniżeli zbieranie złota.

Tom zamilkł, rzuciwszy staremu Bobowi znaczące spojrzenie; widocznie było, że pastuchy nie wierzyli w bezinteresowność Dugana, a może nawet posądzali go o chęć odsunięcia ich od udziału w spodziewanych skarbach. Jako prości ludzie, nie pojmowali, żeby ktoś dla samej tylko przyjemności, lub dla dobra nauki, o której nie mieli pojęcia, narażał się na tyle trudów i niebezpieczeństw.

Kiedy z kaczek pozostały tylko starannie ogryzione kości, podróżni, spragnieni spoczynku, urządzili sobie tuż w sąsiedztwie wody miękkie posłania z lnu nowozelandzkiego i wyciągnęli się na nich z rozkoszą.

— Możemy spać bezpiecznie! — rzekł Dugan; — zwierzęta drapieżnych w pustyni niema, a dzikich w nocy nie potrzebujemy się lękać. Nie ma to, jak Australia, nieprawdą doktorze?

— Tak, ale w Afryce naprzykład przez dwa miesiące schwytałem daleko więcej owadów.

— Pan tylko myślisz o swoich owadach! To okropne! Dobranoc panu!

— Dobranoc!

Dugan niebawem zasnął, inni także; jeden tylko Jerzy nie mógł jakoś zmrużyć oka; patrząc w iskrzące się gwiazdami niebo, rozmyślał o rodzicach, do których jego młode serduszek oddawna już tęskniło, o podróży, która miała jeszcze trwać tak długo, o chciwości Toma. Myśli te spędziły zupełnie sen z jego powiek; leżał więc nieruchomie, wsłuchując się w nocne odgłosy. Kilka razy zdawało mu się, że coś się pluska w wodzie, niedaleko od brzegu; chciał nawet pójść i zobaczyć, co to takiego, ale nie chciało mu się odwiązać kołdry wełnianej, którą był otulony.

— Pewnie w dziurze wodnej są ryby, — pomyślał, — trzeba będzie zarzucić jutro raniutko wędkę; może się co złapie.

Niebawem plusk powtórzył się jeszcze bliżej; zdawało się, że jakieś stworzenie pływa po wodzie i porusza nadbrzeżne rośliny.

Tym razem ciekawość przemogła; Jerzy podniósł się i ostrożnie zaczął się skradać ku jeziorku; stanąwszy nad samym brzegiem, położył się na brzuchu i patrzył.

Księżyc, w drugiej kwadrze świecił tak jasno, że można było bez trudności rozeznawać dość nawet małe przedmioty w odległości kilkunastu kroków; powierzchnia wody spokojnej, jak zwierciadło, błyszczała łagodnie, niby rtęć w wielkiem naczyniu. Wpatrując się przez dłuższą chwilę, chłopiec do-

*) Patrz rycinę na str. 212 zeszłego numeru.

strzegł w pobliżu bruzdę, wyraźnie znaczącą się na drzemiącej wodzie; wyglądało to tak, jak gdyby tuż pod powierzchnią jeziora płynęła ryba.

— Co to takiego? Ryba czy nie ryba?

Przysłoniwszy oczy, aby uchronić je od blasku, Jerzy starał się przeniknąć wzrokiem głębi w wody; ku wielkiej jego radości ślad zbliżał się ku niemu; nie chcąc być spostrzeżonym przez tajemnicze stworzenie, cofnął się w cień eukalyptusa.

— Sądziłem, iż w tych pustkowiach niema żadnego zwierzęcia, — myślał, — a tymczasem na jezioru gnieźdzą się kaczki a oprócz nich jeszcze coś...

Samica karmi swe potomstwo mlekiem; dziobak więc jest niezaprzeczenie stworzeniem ssącym. Żyje on w głębokich norach, które wykopuje sobie na pochyłości brzegu; w schronieniu tem, wysłanem trawą i liśćmi, przebywa, śpiąc, prawie cały dzień, w nocy zaś wchodzi do wody i ugania się tam za drobnymi stworzeniami, stanowiącymi jego pożywienie; pływa i nurkuje znakomicie, w czem mu pomagają krótkie nogi, zaopatrzone pomiędzy palcami w błonę. Niektórzy przyrodnicy utrzymują, że duży pazur u tylnej łapy dziobaka jest jadowitym tak, iż udrapane nim zwierzę zdycha. Zdaje się jednak, że należy to do rzędu wymysłów.

(d. c. n.)



Walter Tankerton zadziwia wszystkich swą zręcznością...

ISLANDYA.

Groźna ta, a zarazem pod wielu względami zajmująca wyspa, leży na najodleglejszym krańcu strefy umiarkowanej, gdyż północna jej strona dotyka już bieguna północnego. Według świadectwa uczonych geologów, powstała ona w skutek podniesienia dna morskiego, wypartego gwałtownie przez nurtujące w jego głębinie prądy wulkaniczne i ztąd też Islandya, późniejsza kraina lodów, posiadała pierwotkowo grunt i klimat zupełnie innej natury. Dziś jądro jej stanowią glezery, czyli stwardniałe lodowiska i grube pokłady nigdy nie topniejącego śniegu, okolone wązkim pasem wybrzeża, posiadającego pewne warunki do utrzymania życia istot organicznych.

Objąwszy wzrokiem ogólne jej zarysy, tak, jak się przedstawiają na załączonej rycinie, trudno jest pojąć, że na tej lodowatej pustyni, podminowanej od spodu, wrzątkiem wulkanicznych pierwiastków, zamieszkiwać mogą ludzie. A jednakże według najnowszych statystycznych obliczeń, Islandya ma około 72,000 mieszkańców, stanowiących wybitne typy, wpośród których przechowuje się dotąd język staronorwesk, oraz podania narodowe, zwane Eddą.

Główne zajęcia Islandczyków stanowią: żegluga i rybność. Hodują tu również pewien gatunek owiec, na łąkach znajdujących się w południowej stronie wyspy; rolnictwa przeciwnie musiano zaniechać, w skutek niesprzyjającego mu klimatu, zaostrego jeszcze wyniszczeniem zupełnym lasów.

Dwa wulkany: Hekla w południowo-wschodniej i Krafla albo Krafla, w północno-zachodniej stronie wyspy, są środkowymi punktami, całej grupy ogniem wybuchających kraterów.

Działanie wulkaniczne objawia się w całej Islandyi, również w tryskaniu dobywającej się z pod ziemi gorącej wody, czyli tak zwanymi gajzerami.

Walka wiekowa dwóch najsprzeczniejszych z sobą żywiołów: ognia i wody, spowodowała owe poszarpania skał i łądów w najdziwniejsze kształty, jakie cechują leżące w pobliżu na pełnem morzu wysepki Westmanayjar.

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ŻUZANNE MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Pieśń przerywała nocną ciszę; z początku nucił ją cichym głosem, powoli jednak głos jego pełniał aż wybiegł z piersi donośnym dźwiękiem...

Po chwili chłopiec mógł zaspokoić ciekawość; ujrzał bowiem dokładnie nocnego włóczęgę, o stopę zaledwie pod powierzchnią; było to zwierzę, długie na pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt centymetrów, walcowatej formy, z ogonem, pokrytym włosiem, który błyszczał, jak niteczki srebrne; a krótkie, opatrzone w błonę, jak u gęsi, łapki, szybko rozpieły wodę. Od czasu do czasu dziwna ta istota nurkowała, szukając żeru w mule, leżącym na dnie, potem znów wypływała na powierzchnię i otwierała szeroki, płaski dziob dla nabrania powietrza. Jerzy poznał natychmiast, że ma do czynienia z dziobakiem, którego nieraz już w swem życiu spotykał w jeziorach i nad brzegami rzek. Stworzenie to, właściwie tylko łądowi Australii, stanowi ciekawe dla naturalisty przejście pomiędzy ptakami a ssakami; jest to, podobnie, jak kangur, niedokształcony czworonóg; znosi bowiem jaja, z których potem wylęgają się młode. Fakt ten stwierdzono już niejednokrotnie; pomiędzy innymi badaczami, przytacza go norwesk zoolog Lumholtz, który przez kilka lat studiował przyrodę Queenslandu.

Za morskim murem coś zaszumiało, zdawało się, że ktoś przechodził i nagle głos jakiś drżący w nieznanym tak dla Mirka jako i jego towarzysza języku zawołał.

— Kto śpiewa?

Mirko śpiew swój przerwał i wsłuchał się w niezmaconą znów niczem ciszę...

Nasłuchiwali obaj, a gdy żaden głos ludzki się nie ozwał tylko jakiś ptak wypadł z gniazda z szelestem i jakby wystraszony lekko załopotał skrzydłami, chłopiec zawołał:

— Ech! to widać ptak tak krzyknął, a nam się zdawało, że ktoś woła.

Strzelec nie nie odrzekł ale nie podzielał zdania towarzysza.

— Śpiewaj dalej — rzekł prosząco chłopiec.

Strzelec znów począł pieśń swoją:

„Boga Rodzico-Dziewico, Bogu sławiona Maryo”!

I znów ktoś tą samą mową co poprzednio, donośnym zapytał głosem:

— Kto pieśń tę śpiewa?!

— Nikt nią koło mnie nie mówił... — rzekł znowu strzelec, a jakieś nieznanne uczucie wstrząsnęło jego sercem.

— A matka? — pytał tenże sam głos dalej.

— Matka umarła gdy miałem lat ośm.

Nastała chwila ciszy, tymczasem słychać było tylko przyspieszony oddech rozmawiających; z za chmury ciemnej wysunął się poważnie księżyc, przy jego srebrnym blasku Mirko i Bogum ujrzeli twarz tego, który ich wypytywał.

— To ten sam, którego zdala w oknie widzieliśmy! — szepnął Bogum do swego towarzysza.

I nie czekając dłużej, złożył u nóg stojącego przed nim biskupa, przyniesioną z takim trudem gemzę i zawołał:

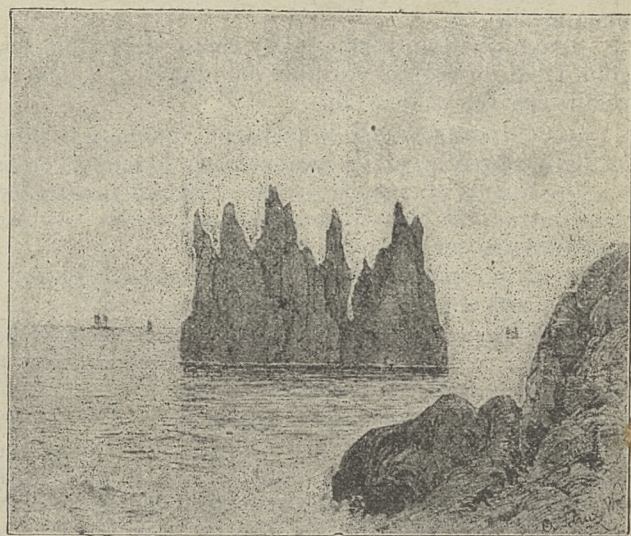
— Biskupie, pomóż mi znaleźć mojego ojca.

— Co to jest? — zapytał Gregorius zdziwiony tem żądaniem i niezwykłym zachowaniem się młodego chłopca.

— To gemza, którąś dla ciebie przyniósł w podarunku — odrzekł z całą naiwnością Bogum i zaraz dodał: — Mirko mówił żeś ty dobry, i że mi pomożesz odszukać ojca.



Ogólny widok Islandyi.



Wyspy Westmanäjar.

— Nie rozumiem twej mowy — rzekł po niemiecku Mirko, i wskoczywszy na mur usiłował dopatrzeć tego, z którego ust usłyszał pytanie.

Młody Hofstein wlokąc za sobą gemzę, stanął tuż obok niego, lecz żaden z nich w ciemności nie mógł nic dojrzeć.

— Nie rozumiesz mej mowy, a pieśń tą mową śpiewałeś — ozwał się tuż pod murem głos mężki, łagodny.

Mirko i jego towarzysze w odpowiedzi zeskoczyli z muru i stanęli obok mówiącego, którego białe włosy odbijały na ciemnym tle otoczenia i były jakby aureolą, przy której mogli nieco dojrzeć twarz tego, który do nich przemawiał.

Mirko prawie bezwiednie ujął wśród ciemności rękę mówiącego.

Ręka ta była tak miękka, delikatna, a strzelec trzymając ją swą grubą, spracowaną dłonią, nie mógł sobie zdać sprawy z uczucia, jakie nim owładnęło.

Ręka ta jednak przez chwilę nie cofnęła się z grubej dłoni strzelca, a głos łagodny, już po niemiecku zapytał:

— Skąd umiesz tę pieśń, jeżeli wyrazów jej nie rozumiesz?

— Matka mnie nauczyła — odrzekł strzelec, usiłując wśród ciemności, przypatrzeć się mówiącemu.

— A nie nauczyła mowy?

— Pieśń powtarzałem codziennie, mowy zapomniałem.

— Czemu?

Uśmiechnął się łagodnie Gregorius, spojrzał na kłęzącego przed sobą młodzieńca i pomyślał sobie w duszy:

— Wyszedłem aby w ciszy nocnej zanieść modły do Najwyższego, a oto dawno niewidziana ziemia moja, przemawia do mnie swą pieśnią, a ten znów następuje spełnienie jakiegoś dobrego uczynku; niezbadane są wyroki Opatrzności.

Głośno zaś spytał:

— Kto jesteś i jak się twój ojciec nazywa?

— Jak się nazywa? — odrzekł chłopiec, i pierwszy raz dopiero nad tem się zastanowił, gdyż jak wiemy, strzelec umyślnie nie powiedział mu nazwiska jakie nosił, jemu zaś nie przyszło nawet na myśl zapytać się o to.

Wtem z oddali dało się słyszeć gwałtowne kołatanie do bramy zamkowego podwórca, gwar zmieszanych głosów i ruch przyspieszony.

Biskup przerwał rozmowę i poszedł w tę stronę czujne na wszystko mając ucho.

Gwar wzrastał się coraz więcej, a światło zapalonych pochodni migotało z dala czerwonym blaskiem.

— To chyba posły od jego excelencji arcybiskupa — pomyślał sobie Gregorius.

— Pójdźcie za mną — rzucił Mirkowi i jego towarzyszowi.

— A gemza? — zapytał chłopiec.

Nie otrzymawszy jednak odpowiedzi, zarzucił ją znów na plecy i obadwaj ze strzelcem podążyli za biskupem.

Ten nie odzywał się już do nich, szedł przyspieszonym krokiem, milczenie to jednak musiało być skupieniem ducha wśród którego pobożny kapłan wzywał opieki Najwyższego, aby mu dodał siły i roztropności wśród każdej przygody jaka go mogła spotkać a na jaką w owym czasie, pełnym napaadów i niepokojów tak dwór biskupi, jako też i każdy pokazniejszy zamek łatwo był narażony.

Jakoż wkrótce spotkał biegnącego ku sobie zaufanego paza, który prawie bez tchu rzucił te słowa:

— Jego excelencya arcybiskup Wilhelm we własnej swojej osobie, wraz z całym przybocznym dworem przybył w tej chwili.

— Chyba jego posły? — spytał Gregorius.

— Nie, jego excelencya we własnej osobie — powtórzył paź.

— Dzięki ci o Boże, że będę mógł zdać rachunek ze swego szafarstwa! — szepnął w myśli Gregorius. Głośno zaś zapytał:

— Gdzie się udała jego excelencya?

— Do komnaty dlań przeznaczonej — odrzekł paź starając się zgadnąć co jego pan o nagłym zjawieniu się Wilhelma myśli.

Gregorius tymczasem jakby się tą wieścią nie zajmował zgoła, rzekł do paza wskazując mu idących za nim o kilka kroków naszych znajomych.

— Odprowadź ich do piekarni, dać im wszelkie wygody, a gdy zawołam, przyprowadzisz ich do mojej komnaty.

— Pomoż mi znaleźć ojca! — zawołał rozpaczliwie Bogum, widząc, że biskup rozmawiający z nim tak łaskawie teraz z niczem go odprawia.

— Nie zapomnę twojej sprawy — rzekł biskup — nie zapomnę was obu — dodał.

I nie zwracając się już więcej do nich podążył ku zamkowi a paź wskazał im furtkę, którą wprowadził ich na obszerny dziedziniec.

Dziedziniec ten przed chwilą uspiony snem błogim, teraz wśród blade oświetlone zamglonym księżycem nocy i czerwonym światłem pochodni, roił się świeżo przybyłymi ludźmi, końmi i psami. Przybyli z arcybiskupem dworzanie i pacholcy, hardo podnosili głowy, a o ile sam arcybiskup po cichu, nie robiąc nikomu kłopotu, usunął się do swej komnaty, o tyle ci z krzykiem dopominali się o najlepsze pomieszczenie, najwykwintniejsze jadło i napitek, wołając:

— Cóż to, my dworscy jego excelencyi, będziemy jak dzikie bestye stać pod gołem niebem.

Lub:

— Nie lada też przyjęcie zgotowano na przybycie jego excelencyi, kiedy dla tych, co z nim przychodzą niema nawet porządnego kęsa!

— Ani dobrego napitku! — wrzeszczeli inni.

— Bramy i drzwi przed nami jak przed zbójami zamknięto! — wołali górcsi.

I rzeczywiście oni sami jak zbójce dobywali się do piwnic.

Wystraszeni i nieprzygotowani na taką napaść ludzie biskupa Gregoriusa, nie wiedzieli jak sobie radzić, czy pozwolić na oczywisty rabunek, czy też bronić od napaści nagromadzone zapasy.

Rozespana służba podwórzowa oglądała się, czy niema gdzie ochmistrza lub rządcy zamku, ale każdy od najwyższego urzędnika na dworze biskupim, aż do ostatniego pacholka po dwudniowych trudach przy podejmowaniu gości, zasypiał teraz spokojnie. Powoli więc otwierały się drzwi w rozmaitych stronach obszernego podwórca, wychylały się głowy, a rozespane oczy spoglądały w głąb słabo oświetlonego dziedzińca, nie mogąc sobie w pierwszej chwili zdać sprawy z tego nocnego najazdu.

Tymczasem Mirko i Bogum prowadzeni przez biskupiego pokojowca przeciskali się przez tłum tych rozhlukanych przybyszów.

Mirko chciał swemu wychowawcowi ulżyć ciężaru i wziąć od niego z takim trudem przydźwiganą gemzę, ale jak wprzódy tak i teraz stanowczo oparł się temu, mówiąc:

— Tyś ją upolował, niechże ja chociaż poniosę.

Szedł więc ze swoim ciężarem, przeciskając się przez tłum przybyłych, którzy obkoczyli go wołając:

— Hola, ten przecie chociaż surową pieczeń dla nas niesie!

— Upieczemy ją sami — zawołał ktoś, chcąc odebrać gemzę.

— To dla biskupa! — zawołał Bogum, broniąc swojej własności.

— I my również potrafimy zęby w tę pieczeń zapuścić — wołano.

— Niech też i nasze języki pokosztują pańskiego przysmaku, kiedy dla nas jadła nie przygotowano! — rzekł ktoś inny, usiłując zabrać gemzę.

Ale silna dłoń odrzuciła napastnika, aź się potoczył, odpychając ciężarem swego ciała cisnących się za nim towarzyszy.

Była to dłoń strzelca, który jak zawsze tak i teraz przybywał na pomoc swemu wychowawcowi, obecnie jednak pomoc ta nie byłaby dostateczną, bo za odepchniętym towarzyszem ujeli się inni; gwar się zrobił jeszcze większy, niesforna tłuszcza nie krzyczała ale wyła, gdy nagle dał się słyszeć świst przeciągły.

Świst ten był doskonale znanym miejscowej służbie, nim zwykle zarządzający zankiem biskupim wzywał wszystkich do porządku lub budził do pracy. Ze zaś zarządzający umiał utrzymać swoich podwładnych w posłuszeństwie, na znak przez niego dany każdy spieszył do swojej czynności. I teraz zawiadomiony przez pacholka o nagłym przybyciu arcybiskupiego dworu, zwoływał swoich podwładnych do zajęcia właściwego miejsca.

Świst ten znany miejscowym a obcy przybyszom, zrobił jednak na tych ostatnich pewne wrażenie. Nie wiedząc co by miał znaczyć, dorozumiewali się, iż to jest oznajmienie czyjegoś przybycia lub zresztą rozkaz dany przez wyższą władzę, porzucili więc chęć posiadania gemzy i odstąpili od gotującego się do oporu młodzieńca, a zajęli się spokojnie pomieszczeniem swoich koni, psów i całego podróznego dobytku.

Tymczasem strzelec i jego towarzysz przeprowadzeni przez pokojowca dostali się do piekarni zajętej teraz przez rozespaną wprawdzie, lecz krzątającą się około przygotowania posiłku dla przybyłego dworu, służbę: Bogum widząc biało ubranego człowieka, domyślił się w nim przewodniczącego w tej całej robocie, podszedł więc do niego i oddając ocaloną od rabunku gemzę, zawołał:

— To ma być przyrządzone dla samego biskupa.

Kucharz warzący tylko jadło dla służby, był tem poleceniem mocno zdziwiony a dumą jego osobista wzrosła nagle poczuciem nowego dostojenstwa. Nie bacząc, kto mu przynosi rozkaz, słyszał tylko, że ma przyrządzić jadło dla samego pana, a nie rozmyślając nad tą daleką sprawą, rzucił wszelką swoją robotę i zawołał z pewną wyższością na posługacza.

— Odbierz zwierzynę! jego excelencya polecił mi, abym ją dla niego przyrządził!

I z godnością jak przystało na wielkiego kuchmistrza, jakim miał nadzieję teraz zostać, wydał swe grube policzki, spojrział maleńkimi oczkami na otaczających i znowu zajął się gemzą.

Bogum zaś uwolniony od ciężaru, który dni tyle dźwigał, siadł nareszcie wraz ze strzelcem w najciaśniejszym kątku piekarni i przypatrywał się napływającym coraz więcej ludziom.

XVII.

NA PODWÓRCU ZAMKOWYM.

Arcybiskup Wilhelm von Arco odebrawszy w drodze polecenie od papieża ażeby jak najprędzej załatwił sprawy

i z wieścią do Rzymu posły wysłał, przyspieszył powrót do swej stolicy. Zmusiły go również do tego niechęci jakie się tu i owdzie słyszeć dały przeciw nowemu cesarzowi Ludwikowi Bawarskiemu i zbieranie się hufców Fryderyka dla pozbawienia go korony.

Że zaś w interesie Rzymu leżało popieranie Ludwika, swego sprzymierzeńca, trzeba było jak najprędzej zawrzeć ugodę z zebranymi w Salzburgu panami, z nimi razem jechać do Wiednia i tam z całą gorliwością utrzymać na tronie młodego cesarza.

Wszystko więc złożyło się na to, że Wilhelm pozbawił lud widowiska wszelkich uroczystości, jakie przygotowywano na jego przyjęcie i na trzy dni przed oznaczonym czasem stanął w swojej stolicy, którą rzeczywiście raz dopiero wtóry przez ciąg swego dwuletniego panowania nawiedzał.

O ile zaś dwór jego był głośny, wymagający i krzykliwy o tyle on sam mając ważne sprawy do załatwienia, chciał ażeby jak najmniej o nim na teraz wiedzano i jego osobą się zajmowano.

Mimo więc znużenia przyspieszoną podróżą, przyjął zaraz w swej komnacie Gregoriusa; długo w noc obadwaj rozmawiali, a po krótkim spoczynku, wezwał do siebie Roberta Hofsteina i razem z Gregoriusem przez dzień cały u siebie zatrzymał.

(d. c. n.)

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

Trzymając się kierunku mniej więcej sto sześćdziesiątego południka, pływająca wyspa przebywa teraz tę część oceanu, która przedstawia największą głębię, tworzącą w miejscu zwanem Belknap przepaść sięgającą do sześciu tysięcy metrów. Zwierciadlaną też szybą bezmiernych tych obszarów morskich nie urozmaica żadna, choćby najmniejsza wysepka; a zapuszczona sonda wydobywa na wierzch ciekawe okazy mięczaków i skorupiaków, których budowa ciała zdolnego wytrzymać ciśnienie masy wody równającej się sześciuset atmosferom, zastanawia uczonych naturalistów.

Dwudziestego dziewiątego lipca ujrano z wieży obserwatorium Standard Islandu, grupę wysepek, które będąc własnością Anglii, zaliczane bywają często do posiadłości amerykańskich.

Minąwszy zdalea Palmirę i Suncarung, pan Etel Simoe podpłynął na odległość pięciu mil do wyspy Flaming, która również jak wszystkie inne tu spotykane, wulkanicznej jest natury. Nienuradne, skaliste jej grunta zamieszkuje szczupła tylko garstka osadników i Wielka Brytania niezbyt doniosłe ciągnie z tych ziem korzyści. Gdy jednak raz udało jej się postawić na nich zwyciężką swę nóżkę, nie tak łatwo pozwoili zatrzeć jej ślady.

Noc z trzydziestego na trzydziesty pierwszy lipca dała sposobność mieszkańcom Standard-Islandu, a zatem i naszym artystom, podziwiania ciekawego zjawiska natury.

Przed wieczorem jeszcze, dano znać z portu Tribor-Harbour o pojawianiu się, w niezmiernej liczbie i na przestrzeni kilkomiłowej, polipów, zwanych *meduzami*, z rodzaju tych którym przyrodniczy nadali nazwę „polipów oceanii”.

Istoty te, z ustrojem nader prostym należą do działu tak zwanych jamochłonnych. Niektóre z nich żyją barwą i pięknym kształtem tak dalece przypominają rośliny, a mia-

nowicie ich kwiaty, że wiele gatunków niedawno jeszcze zaliczane były do roślin przez sławnych nawet uczonych. Ciało ich, masy galaretowatej, podobne jest często do róż, peonii lub dzwonczków, te zaś, które na Oceanie Spokojnym najczęściej spotkać można, do barwnych, ozdobianych brzegiem leciuchną koronką, parasolek.

Lubujący się w żartobliwych porównaniach Ponchard nie może się powstrzymać od złośliwej nieco uwagi.

— A jednak zdaje mi się — mówi ze znaczącym uśmiechem, że potęgi naszego miasta mają jeszcze pewną wyższość nad tą nieprzeliczoną liczbą; bo gdy zjawisko obecne należy do wyjątków, u nich miliardy są bezustannie w obiegu!

Z nadejściem nocy, publiczność Miliard-City zaległa w wielkiej liczbie tę stronę wybrzeża, z kądem można było wygodnie obserwować zajętą przez polipy część morza.

Wszystkie wagony kolei elektrycznej jako też wszystkie prywatne pojazdy były w nieustannym ruchu, dowożąc coraz liczniejszych widzów.

— Oczywiście w zupełnym komplecie stawily się też obie rodziny Cowerley'ów i Tankerdonów, lecz unikając bliższego spotkania, nie zamieniły nawet zwykłego ukłonu, co naturalnie nie uszło bacznej uwagi śledzącej ich publiczności.

— Co za skandal! — mówiono po cichu, jak zajmujące będą jutrzejsze artykuły Standaard Cronicle i New Herold w dziale wydarzeń miejscowych — powtarzano nie bez pewnego zadowolenia.

Gdy już zupełnie pociemniało, o tyle przynajmniej, o ile może być ciemną noc podzwrotnikowa przy blasku wspaniałych gwiazd na niebie, zdawało się, że cały ocean zajaśniał aż do najniższych swych głębin.

Meduzy bowiem żyjące w wodach mórz południowych, mają własność tak znacznej fosforescencji, że jak w obecnej chwili, przy niezmiernej ich ilości, bije od nich blask podobny do światła zorzy północnej, które i tutaj mieni się barwami: niebieską, różową i fioletową.

Możnaby powiedzieć, że ocean pochłaniając przez dzień cały żary słoneczne, wydziela je nocą w postaci jakiegoś ognistego płynu.

Niebawem ster pływającej wyspy przecina tę zbitą masę polipów i Standard-Island otoczona została, jak okiem zasięgnie, promienną aureolą, niby nimbem nadziemskim, jaki malarze zwykli dawać w około głów Świętych Pańskich.

Ciekawe to, a rzadkie zjawisko trwało aż do chwili, gdy wschodzące słońce przyćmiło swym blaskiem, fosforyczne ognie meduz, podobnie jak w świetle dziennem gasną światła pospolicie znanych u nas robaczek świętojańskich.

W sześć dni później Cudowna wyspa była już bardzo blisko tej wymyślonej na naszej planecie linii, którą równikiem zowiemy, a która gdyby istniała przedzieliłaby ziemię na dwie olbrzymie półkule.

W miejscu tem można widzieć równocześnie oba bieguny sklepienia niebios, północny ze znaną nam gwiazdą polarną, i jak pierś weterana zdobny jaśniejącym krzyżem, biegun południowy.

Na całej też linii równika, planety w codziennym swym biegu zdają się podążać w prostym względem niego kierunku, a ktokolwiek pragnąłby stale cieszyć się równą długością dnia i nocy, winien jedynie w tych stronach zbudować ołtarz swym penatom.

Od czasu swego istnienia, Standard-Island zamierza już po raz wtóry przepływać równik z północnej na południową półkulę, a fakt ten jest tak doniosłej wagi, że zaprojektowane zostało wielkie święto w miliardowym mieście.

— W rannej porze mają być odprawione solenne nabożeństwa we wszystkich świątyniach, poczem nastąpią zabawy publiczne i wyścigi naokoło wyspy; wieczorem nareszcie ma zabłysnąć wspaniała iluminacja miasta i spłoną sztuczne ognie na platformie wieży obserwatorium.

Uroczystość podobna zwana przez marynarzy „chrztem równikowym” zwykle odbywa się na okrętach za każdym razem, gdy przebywają tę linię demarkacyjną, że zaś „Cudo-

wna wyspa" jest niczem innem, jak tylko niezmiernych rozmiarów statkiem, przeto słuszną jest rzeczą, by przyjęła formy uświęcane dawnym obyczajem.

Na ten dzień ważny odkładane też były obrzędy chrztu dzieci, przybyłych na świat od czasu opuszczenia portu Magdaleny, a nawet ma się odbyć podobna ceremonia, lecz o charakterze świeckiej tylko zabawy, dla tych, którzy pierwszy raz w życiu przekraczają linię równika.

— Zdaje się, że i nam z kolei trzeba będzie poddać się ogólnie przyjętym zwyczajom — zauważył dnia tego Yvernes.

— Co znowu! Ani mi się marzy pozwolić na jakieś błazeństwa z moją osobą! — zawołał z oburzeniem wiołenczelista.

— To trudno mój stary! nie już nie zdola nas obronić ani od konwi zimnej wody, oczywiście nie święconej, którą zleje nasze głowy odwieczny duch równika w postaci siwobrodzgo starca, ani od zabrania miejsca na huśtawce, wyobrażającej kołyskę, ani od upatrywania przez teleskop linii tej, na niebie, zarysowanej poprzednio atramentem na szkle, ani od wielu tym podobnych figli, praktykowanych przez starych wilków morskich.

— Co mi tam obchodzą dzikie jakieś obyczaje? — mruzczał gniewnie Sebastian.

— Każdy kraj ma ich przecie wielką liczbę, a gościom należy je przyjmować bez szemrania — drażnił zgryźliwego dyrektora wesóły Ponchard.

Tymczasem nadszedł ów dzień uroczysty i cała wyspa przybrała świąteczny jakiś wygląd. Z wyjątkiem urzędników celnych, którym nie wolno pod żadnym pozorem opuszczać stanowiska, wszyscy mieszkańcy wolni są od zajęć, nawet obie śruby u portów stoją w spokoju, a akumulatory elektryczne zaopatrzone zostały dnia poprzedniego w dostateczną ilość siły, by jej nie zabrakło ani do oświetlania miasta, ani do innych koniecznych potrzeb.

Cudowna wyspa jednak nie stoi na miejscu, lecz posuwa się zwolna wraz z prądem wody, zmierzając ku równikowi.

Po solennych nabożeństwach w obu świątyniach rozpoczął się cały szereg zabaw w parku, gdzie wszystkie klasy mieszkańców Standard-Islandu zebrały się w wyjątkowym komplecie.

Walter Tankerdon, przodując młodzieży, zadziwia wszystkich swą zręcznością w najtrudniejszych partyach „golfa” tej pięknej gry, przypominającej igrzyska Rzymu, lub starej Helady.

Gdy już ognista gwiazda dnia skryła się za horyzontem, zbliżyły na całym obszarze wyspy srebrzyste księżycy elektryczne wśród sztucznych ogni i rakiet, sięjących w około rzęsy deszcz ognisty.

Równocześnie zebrani w Casino dostojnicy miasta i najznakomitsi mieszkańcy Miliard-City, zaprosili do wspólnej biesiady francuskich artystów, którym przecie należy się tradycyjalny chrzest podzwrotnikowy.

Wśród ogólnie wesółych humorów, Cyrus Bikerstoff wzniósł pieniącym się szampanem zdrowie szlachetnych swych gości, przemówiwszy słów kilka uznania i podzięk. Zabrzęczały kielichy, polał się złocisty nektar, a okrzyki „niech żyją!” zapełniły salę.

Za taki dowód uprzejmej pamięci koncertujący kwartet nie omieszkiał okazać swej wdzięczności, darząc słuchaczy najpiękniejszym swym repertuarem.

Szlachetne tony instrumentów przy wyjątkowym nastroju ducha artystów łączyły się w tak cudowną prawdziwie całość, że zapał w sali wzmagął się z każdą chwilą, a oklaski i „bisowania” dochodziły do rozmiarów rozhukanej burzy; gdy wreszcie na zakończenie prezydent miasta doręczył artystom piękny medal złoty, otoczony rządem lśniących brylantów; na jednej stronie wyryte były herby miasta, na drugiej zaś widniał napis:

Koncertującemu Kwartetowi
od Towarzystwa, Zarządu i Mieszkańców
Miliard-City.

Wzruszeni tylu dowodami uznania artyści francuscy nie szczędzą najserdeczniejszych wyrazów wdzięczności; jeden tylko Sebastyan, szarpiąc drżącą ręką długą swą brodę, powtarza z niepojętym uporem ulubione swe zdanie: „Czekajmy końca całej tej awantury!”

Podług ścisłych obliczeń, dokonanych w obserwatorium, Standard-Island przejdzie równik, o godzinie szóstej minut pięć wieczorem i w tejże chwili dany strzał armatni ma być jakby pozdrowieniem tych stron globu naszego.

Ponieważ linja drutów łączy ustawione nad brzegiem baterie z maszyną elektryczną, znajdującą się na skwerze przy obserwatorium, przeto wystarcza nacisnąć tutaj drobną tylko sprężynę, aby zagrział oczekiwany sygnał.

Szczególna rzecz, iż o tak blłą satysfakcyę dobijają się najznakomitsze osobistości miasta, a jako pierwsi i nieprzejednani niczem rywale, stanęli naprzeciw siebie Jem Tankerdon i Nat Coverley.

Poprzednie już traktowanie tej kwestyi na posiedzeniach w ratuszu i za pomocą telefonów, nie przyniosło pożądaných rezultatów; bezowocnymi zupełnie okazały się dyplomatyczne zabiegi Cyrusa Bikerstoffa i sprytne pośrednictwo Kaliktusa Munbara, w obec rozbudzonych namiętności: ambicji i współzawodnictwa stronnictwo. Publiczność Miliard-City, rozumiejąc dobrze, iż w osobach przywódców rozgrywają się jej własne losy, ciśnie się tłumnie na skwer obserwatorium, oczekując z niepokojem pierwszego wybuchu i śledząc każdy ruch swych dowódców, którzy stoją tam naprzeciw siebie o pięć kroków zaledwie od elektrycznego przyrządu.

Nie pozdrowiwszy się nawet uchyleniem kapeluszy, obadwaj wyciągają równocześnie rękę do aparatu...

— Sądzę, mój panie — odzywa się wreszcie wzburzony tłumionym gniewem Jem Tankerdon — że nie zechcesz pozabawić mnie honoru...

— Tego samego właśnie oczekuję ze strony pana — odpowiada spokojnie Nat Coverley.

— Ja tego nie zniosę, by mi publicznie uchybiano — zawołał pierwszy.

(d. c. n.).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Na wakacyach, wiersz p. E. L. (z drzew.) — Wystawa metalcwa. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego — Islandya (z drzew.) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z drzew.). — Dodatek: Słowiki (z drzew.) — Fiolek i stokrotka, wiersz p. E. L. — O kotku p. Maryę Weryho. — Dzielný Julek, p. Marzannę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE



SŁOWIKI.

Był to śliczny i ciepły dzień majowy; pola i lasy nęciły oko swą zielenią, a zapach bzów rozkwitłych i różowych kwiatów jabłoni unosił się w powietrzu.

— „Jak tu ładnie”, świegotały wróble, „jak ciepło” brzęczały muszki, „jak dobrze na świecie”, szczebiotały jaskółki; cieszyli się wszyscy, lecz najbardziej chyba dwa małe ptaszki...

Przelatywały one z krzaczka na krzaczek, z drzewka na drzewko, rozprawiając wesoło, wreszcie, znużone, spoczęły na gałązce bzu kwitnącego.

— Patrz jak tu ślicznie, tu obierzmy sobie mieszkanie — zawołał jeden z nich. — „Prawda, będzie nam tu dobrze i spokojnie, dalej więc do dzieła” — zaszcebiotał drugi i poczęły znów uwijać się szybko. Dzięki ich pracy usilnej, ukazał się wkrótce wśród gałązek bzu niewielki koszyczek, z chrustu upleciony; wysłano go mchem i piórkami, a ze wschodem słońca domek ich był już prawie skończony...

Nie nudziły się przy pracy ptaszki, nie czuły nawet zmęczenia, bo cieszyły się myślą własnego kącika i wciąż rozprawały: „Ach! jak tu nam dobrze będzie, jak miłuchno, ciepło i zacisznie.”

Wieczór już był, gdy zaprzestały pracować, ukończyły już prawie zupełnie swe gniazdko, więc też usadowiły się w niem i próbują zasnąć...

Zamykają jedno oczko, potem drugie, siedzą cichutko, ale sen jakoś nieprzychodzi.

— Ech, zaśpiewaj lepiej — prosi mniejsza ptaszyna, ja tak cię lubię słuchać.

I ptaszek szary usiadł na gałązce, niedaleko swej towarzyszki i zcichu najpierw, potem coraz głośniejsze śpiewać jej zaczął; śpiewał tak silnie, że gwiazdki zamigotały żywiej, księżyc ciekawie wyjrzał, ptaszki, obudzone poczęły szeptać z zachwytem.

— Słowik śpiewa! a zasłuchane w pieśni jego kwiatki, schyliły aż główki by ukryć łezki, błyszczące w różnorodnych oczętach.

I długo, długo śpiewał słowik, aż do wschodu słońca, wreszcie umilkł zmęczony...

Dobrze było ptaszkom w gniazdku, tak dobrze, że nie uważały, jak szybko mijały im dni i godziny; coraz rzadziej opuszczały swe miłe schronienie, bo też miały tam aż pięć małych jajeczek, które ogrzewać własną pierś było trzeba. Kolejno więc tylko opuszczały gniazdko gdy się im jeść lub pić chciało.

Razu jednego wracał właśnie słowik, gdy zdaleka już posłyszał radośny okrzyk: „Mamy pisklęta!” i przyfrunawszy copędzej, ujrzał pięcioro drobiazgu. Brzydkie to były stworzonka, niczem prawie nie pokryte, szyjki miały długie i cienkie, główkę bez puszków ze świecącymi czerwonymi oczkami... Pomimo to wywołały zachwyt obojga rodziców.

— Niema piękniejszych piskląt na świecie — powiedział tatusz.

— A jakie mądre — dodaje mamusia, słyszysz jak dopominają się o jedzenie?

W istocie małościu co sił piszczały: — Jeść! jeść!

— Zaraz, zaraz dziecińy — uspokaja tatusz, odlatuje po muszki, a mamusia otula tymczasem swe pieszczochy by się nie zaziębiły.

Odtąd rozpoczyna się nowa, uciążliwa praca, niełatwo to zaspokoić pięcioro drobnych istot, to też od rana do nocy tatusz lub mamusia czuwają nad nimi a gdy ptaszki podrosły, oboje razem szukają dla swych żarłocznych pociech pokarmu, drząc ustawicznie na myśl, by się im co złego nie stało w czasie ich nieobecności...

Razu jednego dłużej niż zwykle będąc poza domem powracając z dość obfitem połowem, gdy wtem, coś spostrzegają! Gniazdko na ziemi, puch wysypany, a z pisklęt... parę piórek zaledwie!

— Co się to stało? — woła matka przerażona, z żalosnym krzykiem spadając na ziemię, co się stało? Ojciec strapiiony zrozumiał odrazu co to było: kot zakradł się do ich gniazdko i w jednej chwili zburzył ich szczęście rodzinne! Smutno upłynął ten dzień słowikom, wieczorem nie rozległ się radosny śpiew biednego ojca, a nazajutrz odleciały słowiki gdzieindziej, nie chcąc nadal przebywać w pobliżu swego gniazda zniszczonego, gdzie im tak dobrze, tak wesoło było!

H. B.

FIOŁEK I STOKROTKA.

Władzia, mając na piękno duszyczkę wrażliwą,
Lubiła na wsi z łózka zrywać się raniutko,
A potem do mateczki powracać co żywo,
Przynosząc dla niej zwykle wiązaną świeżutką.
Tak raz zbierając skrzętnie ulubione kwiatki:
Fiołeczki, podlaszczki, jaskier co się złoci;
Weszła z wielkim pośpiechem do pokoju matki.
Niosąc w palcach osobno kwiat białej stokroci.
— Ach mamol! — zawołała: — powiedz twej pieśczoćce,
Jakim cudem natura wbrew swego zwyczaju:
Mogła nadać tej prostej, tak skromnej stokrotce
Woń fiołka, tak obcą kwiatkom w tym rodzaju?
— Bo rosnąc przy fiołku, to rzecz oczywista,
Stokroć przeszła zapachem; tak się zwykle staje:
Że w dobrem towarzystwie, każdy coś skorzysta
A zło, często najlepsze psuje obyczaje.

E. L.

O KOTKU.

Józia miała prześlicznego kotka, był cały biały, i miał tylko dwie czarne plamki na grzbiecie, a dostała go od dawnej swej niani, Marysi. — Z początku kotek bał się dzieci i uciekał przed niemi, później przecież przekonał się że one nie chcą zrobić mu nic złego; — przyzwyczaił się prędko i sam do nich przychodził.

Józia troskliwie się nim opiekowała, karmiła rano, w południe i wieczorem, nalewała na miseczkę mleka, dokładając czasem jeszcze bułeczki; przygotowała mu nawet posłanie. Wybrała na to największe łóżeczko lalki, położyła mięciutki materacyk, przykryła prześcieradłem, i postawiła przy ścianie. Kotkowi podobało się bardzo miękkie łóżeczko, bo kilka razy dziennie zwinawszy się w kłębek, usypiał w nim mocno.

Czasem zbliżał się kotek sam do Józii, ocierał się o jej sukienkę i wskakiwał na kolana, a wdzięczny za pieśczoćkę mruczał z zadowolenia: Mru-u-u mru-u-u, najprzyjemniejsze przecież były zabawy z kotkiem; Józia gniotła w rękę kawałek papieru przywiązywała do sznurka, którym paperek ciągnęła za sobą, Kotek przyczajał się, a potem z całej siły rzucał się na papier, bo sądził zapewne że to myszka ucieka przed nim, i już, już, miał papier schwycić, lecz Józia podnosiła go do góry. Kotek udawał wtedy obrażonego, niby nie patrzył na paperek, czasem nawet chował się pod stół.

Józia więc ciągnęła znów paperek po ziemi zbliżając się coraz bardziej do kotka, a ten nagle przyskakuje, i cap! trzyma paperek w pazurkach, aby go znowu puścić i znowu gonąć. Józję to niezmiernie bawiło, uśmieła się też zawsze serdecznie.

Pewnego razu zdarzył się smutny wypadek, Józia nie chciała umyć twarzą i chociaż na jej obronę mu-

simy powiedzieć że jej się to rzadko zdarzało, płakała bardzo głośno i tupiała nóżkami.

Kotek zdaleka poznał głos Józii, przybiegł poczuł się łąsić, mruczeć i w oczy zaglądać, ona przecież na to nie zważała.

Zniecierpliwiona niania mówi wkońcu.

— Niech panienka patrzy jak się to z niej kotek wyśmiewa.

Niania żartowała, lecz Józia naprawdę temu uwierzyła, kopnęła go silnie nogą i krzyknęła:

— Precz mi ztąd szkaradne kocisko!

Kot widocznie bardzo się za takie obejście obraził, zawrócił się i wyszedł. — Józia wkrótce uspokoiła się i była jak dawniej grzeczną dziewczynką, kotek przecież już się wcale nie pokazał. Widocznie rozgniewał się za niesprawiedliwe i niegrzeczne obejście. Józia tem strapiąca postanowiła odtąd obchodzić się grzecznie nawet ze zwierzętami.

Marya Weryho.

Dzielny Julek

przez

Marzannę.

(Ciąg dalszy).

Julek wziął laskę ojca i uważając ją za strzelbę mierzył do figurek stojących na kominku, a Władek naśladował go mając za całą broń wielkie szydelko drewniane.

Jadzia stała przy oknie patrzyła na zabawę chłopców i żałowała, że niema siostry z którąby się mogła bawić. Chłopcy tak hałasowali i wynajdowali takie niemożliwe gry! Podeszła do kominka i spostrzegła, że ogień całkiem wygasł, i że już niema drzewa w koszyku.

Julek! gdybyś powiedział Joasi, żeby nam drzewa przyniosła?

I owszem, zaraz pobiegnę do kuchni.

Ja pójdę z tobą, zawołał Kazio, będziemy się ścigać.

— Gdybym już był tak duży jak Julek! powiedział mały Władysław, patrząc na drzwi, które chłopcy wyszli. Jakby to i Jadzia chciała być podobną do Julka, którego wszyscy kochali za wesołość, pracowitość i dobre serce.

— On z pewnością będzie bohaterem, rzekła półgłosem, ale wyleciały jej z pamięci słowa mamy, i wyobrażała go sobie na koniu w mundurze, z mnóstwem orderów.

Kiedy chłopcy wpadli do kuchni z hałasem, Joasi nie było i kucharka wyszła także do ogrodu po warzywa. Kazio od razu spostrzegł strzelbę stojącą w kącie koło drzwi.

Fuzya! fuzya! teraz będziemy prawdziwymi żołnierzami.

Daj mi ją wołał Julek.

— A! ja pierwszy zobaczyłem i nie zastanawiając się co robi, przyłożył do ramienia i zmierzył w Julka. Uciekaj bo strzelę! mówił śmiejąc się. I niestety, niebacznie przycisnął cyngiel, rozległ się strzał, a kiedy dym opadł, Kazio zobaczył braciszka leżącego na ziemi!

KALEKA NA CAŁE ŻYCIE.

— Dziś Julek przyjdzie do salonu! — wołały dzieci z radością.

— Musimy pokój ładnie przybrać — powiedziała Jadzia. Patrzcie ile fiołków znalazłam w ogrodzie; zaraz je ułożę w koszykach i postawię na stoliku obok kanapy, Mama powiada że Julek będzie musiał leżeć na kanapie.

— Jakie pachnące — mówił Kazio, ale co ja zrobię coby mu było miłym?

— Ja myślę, że chyba ci mama pozwoli przynieść te śliczne króliki, żeby się mógł nimi pobawić.

Z pewnością. Ciocia właśnie mówiła, że trzeba go jak najwięcej bawić, aby zapomniał o chorobie. Króliki przyniosę w dużym koszu, aby mi nie uciekły.

— A ja, a ja co mu przyniosę? — wołał mały Władysław. Może to gniazdko cośmy widzieli w krzaku z małutkimi ptaszkami?

— O nie! ptaszki by się przelękły a Julkowi żalby ich było.

Chłopczyk zrobił minkę nadąsaną: Ja wiem że Julek lubił przyglądać się gniazdkom.

— To mu o niem opowiesz.

— Wiesz co Jadziu, mam złotówkę, pójdę i kupię mu orzechów.

— Niania ci nie pozwoli.

— To pójdę do mamy, bo przecież musimy zabawić Julka.

— Ech! daj pokój. Mama teraz Julka ubiera, żeby mógł przyjść do nas. Idź lepiej do ogrodu i narwij więcej liści fiołkowych, bo mi zabrakło.

Chłopczyk poskoczył do drzwi. Widać jednak, że go jakaś myśl uderzyła, bo zatrzymał się i spytał. Czy Julek już nigdy nie będzie biegał?

Jadzia potrząsnęła smutnie główką i pochyliła się nad kwiatami, żeby ukryć łzy ciskające się jej do oczu. Julek był kaleką na całe życie. Po tym strasznym dniu, kiedy Kazio strzelił do niego, biedne dziecko leżało przez parę miesięcy ciężko chore. Lekarze musieli mu zrobić operację dla wyjęcia kawałków strzaskanej kości i noga nazawsze krótszą i bezwładną została. Przez czas długiego powrotu do zdrowia dzieci go rzadko widywały, i tylko na krótką chwilę. Nareszcie miano go znieść na dół i choć się Jadzia serdecznie cieszyła, że zobaczy na dłużej brata, jednak nie mogła wstrzymać łez na myśl, że jej ukochany Julek nie będzie nigdy mógł brać udziału w zabawach innych dzieci!

— Jadziu, ty zawsze płaczesz — rzekł Kazio z wyrzutem, a jemu samemu głos drżał ze wzruszenia. Ciocia mówiła, żebyśmy byli wszyscy weseli i nie pozwalali się smucić Julkowi. Jadziu bądź odważna.

Dziewczynka patrzyła na niego ze zdziwieniem. Jak on się zmienił! Ten chłopiec zepsuty, samolub, stał się teraz ważnym, łagodnym dla innych, zapominał o sobie, żeby drugim sprawić przyjemność. Ale ona niewiedziała nawet jakie straszne chwile Kazio przechodził. Z początku był przerażony myślą że o mało nie zabił bratiszka, potem rozrzewniła go dobroć tych wszystkich, którzy Julka najbardziej kochali. Nie zapomniał, że wieczorem, tego samego dnia, wuj znalazł go we łzach, wci-

śniętego w najciemniejszy kąt pokoju, że mu powiedział: Mój biedny chłopcze, ja wiem że ty z nas wszystkich najbardziej jesteś nieszczęśliwy, ale nie płacz Kaziu, przecież to się stało nieszczęśliwym wypadkiem...

A ciocia, choć była niezmiernie zmęczona całowała go i nazywała swoim biednym przybranym synkiem.

Jadzia z początku unikała Kazia, bo nie mogła patrzeć na chłopca, który o mało nie zabił jej brata; ale kiedy zobaczyła jego straszny żal, zapanowała nad sobą i w końcu zupełnie mu przebaczyła. Ta dobroć wujostwa i dzieci zjednało im serce Kazia; postanowił być dobrym, żeby im choć w części wynagrodzić krzywdę.

— To takie okropne dla Julka — mówiła Jadzia płacząc — pamiętasz, jak on mówił, że chce zostać żołnierzem?

Kazio dobrze pamiętał. Odwrócił się, żeby Jadzia nie widziała jak mrugał oczami, by łzy powstrzymać. Dotychczas nigdy nie myśleli o tem, że Julek będzie kaleką na całe życie. Z początku obawiano się, że umrze, a gdy niebezpieczeństwo minęło, tak wszyscy wdzięczni byli Bogu za zachowanie mu życia iż kalectwo nie wydawało się być nieszczęściem. Teraz dopiero zrozumieli, jaka to wielka niedola!

— Idę do Julka i zaraz go tu przyniosę — powiedział pan Żeliborski, wchodząc do pokoju. — Moje dzieci — dodał, zobaczywszy ich zasmuczone twarzyczki — bądźcie wesole, żeby i Julkowi było wesoło między nami. Kaziu, chodź ze mną, pomożesz mi znieść jego rzeczy. Nie Jadziu, ty zostań tutaj, powitasz go razem z Władkiem.

Ojciec poszedł na górę z Kaziem i po chwili wrócili, niosąc bladego, ale śmiejącego się Julka i mnóstwo szalów i poduszek.

— O! tatusiu — zawołał — jak dobrze u tatusia na rękach! Co za prześliczne fiołki, dziękuję ci Jadziu; toś się musiała napracować w ogrodzie!

— Tak — odpowiedziała dziewczynka cichutko. — Jaki on biedaczek mizerny i delikatny — pomyślała sobie.

— A ja przyniosłem liście — wołał Władek.

— Zaraz ci pokażę moje króliki — rzekł Kazio, jak tylko ojciec usadowił Julka wygodnie na kanapie.

— Mamusiu — zapytał Julek wieczorem — dla czego wszyscy są tak dobrzy dla mnie?

— Bo cię kochają i żal im ciebie, mój synku — odpowiedziała mama, całując go w czoło.

— Jak to miło być zdrowszym — mówił chłopczyk — tylko już nigdy w piłkę nie będę mógł grać i nie będę żołnierzem ani bohaterem.

— Owszem, moje dziecko, możesz być bohaterem ale innego rodzaju. Jeżeli nie będziesz szemrał na przykrości i jeżeli będziesz się starał być pożytecznym na świecie i los swój zniesiesz odważnie, to będziesz bohaterem Juleczku, bohaterem chrześcijańskim.

Ostatnie słowa powiedziała mama prawie szeptem i wyszła z pokoju, a Julek długo leżał i zastanawiał się nad niemi.

Postanowił wytrwać w zamiarze, choć wiedział, że mu to przyjdzie z trudnością. Dawniej zdawało mu się, że bohaterstwo ciche, o jakim mama mówiła, jest rzeczą małej wagi, ale teraz myślał inaczej.

S Z A R A D A.

Pierwszego na początku patrzcie w alfabecie,
Pierwsze z drugim na starej odzieży znajdziecie,
 A na twarzy człowieka toż samo wam powie:
 Czy w ciele jego mieszka choroba, czy zdrowie.
Drugie z pierwszym w powietrze wylatując z traskiem,
 Bawi oko człowieka migotliwym blaskiem.
Trzecie z pierwszym w salonach na sposób jednaki,
 Wszędzie krąży wśród gości z różnemi przysmaki,
Drugie z trzeciem obawy w tym nigdy nie wzbudzi,
 Co ceni wartość prawa i rzetelność ludzi.
Wszystko, chociaż do żadnej nie służy ozdoby,
 Pomiędzy pożyteczne liczy się wyroby.

Z A G A D K A.

Z trzech zapalek ułożyć z kolei sześć liczb, któreby przez dodawanie dały sumę 84.

ZADANIE KONIKOWE.
 ułożył Lew z n. Nilu.

jem	stał	jem	zda
mo	pan	swo	prze
na	kto	niem	Ten

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 25-go.

Szorady: Kra — jan — ka.

Łamigłówki sylabowej:

1) Wrocław. 2) Japonia. 3) Sambor. 4) Lót. 5) Adelajda.
 Wisła — Warta.

Łamigłówki krysztalowej:

O
 O d a
 C z y t a
 G l a s k o w
 O d y s s e u s z
 M i n e r w a
 N a u k a
 O s a
 z

Skrzynka do listów.

Ułanka z nad Kaniny obiecuje za bytnością swoją w Warszawie odwiedzić Redakcję ulubionych przez nią „Wieczorów”. Przyjemnie nam będzie poznać życzliwie dla pisma naszego usposobioną czytelniczkę, która nadto gorliwy bierze udział w ogłaszanym przez nas konkursie, skoro już nadesłała w skutek odezwu naszej, odzież dla biednych własnoręcznie przez nią i siostrę jej uszytą. Pośpiech taki dobrze wróży o sercu i pracowitości naszej młodej prenumeratorki.

Pośredniczymy zawsze chętnie w dostarczaniu ubogim wsparcia udzielanego przez dobroczyńnych naszych korespondentów, a pośrednictwo także tem miłsze, gdy odnawia stosunek ze „starymi znajomymi” którzy podobnie jak to czyni p. A. K. wyrazami pełnymi życzliwości pozdrawiają Redakcję i wszystkich jej współpracowników. Nadesłane rs. 3. dołączyliśmy do przesyłek na kolonie letnie.

Poziomce leśnej wedle wskazanego adresu „Wieczory” przysłać będziemy do wakacji, które niewątpimy, że przyjemnie jej upłyną w pięknej miejscowości nad morzem.

W odmiennych warunkach, ale niemniej miły sposób spędzi chwile wakacyjnego wypoczynku *Terenia R.* wracając na ten czas z dalszych stron do rodzicielskiego domu; życzymy jej też aby w swobodzie wiejskiej, w ożywczej atmosferze rodzinnego życia, zaczerpnęła zapas sił, zdrowia, energii, wytrwałości do dalszej oczekującej ją pracy.

Anielkę K. upewniamy, że przyjemne nam są zawsze dowody zaufania młodych naszych czytelników, którzy nas długimi i szczegółowymi obdarzają listami. Sądzymy też, że z czasem nabędzie wprawy w odgadywaniu szarad i logogryfów, a może nawet sama układać je potrafi. Żądany dodatek powieściowy przesłany.

Łamigłówki swego układu nadesłali: *Saryusz, Stanisław M.* i *Kielczanin*, praca jednak ostatniego nie dość dokładna, brakuje sylaby bowiem w spisie ogólnym.

P. Janinie D. Odebraliśmy rs. 4 kop. 35 złożone na kolonie letnie przez p. M. i pp. B. R. Z. po odegraniu komedyjki przez dzieci pp. Z. w S.

Życzliwej. Z przesyłki Pani obecnie korzystać nie możemy.

Dziękuję ci *Srebrna Gwiazdka* za serdeczne listu twego wyrazy, świadczą one, że umiesz ocenić starania naszej Redakcji dla przysporzenia pożytecznych wiadomości młodym czytelnikom i szczerą odpłacasz je życzliwością. W uczuciach sympatii dla wszystkich współpracowników *Wieczorów* nie zapominasz o małej ptaszy nie której udział w korespondencji, pozwala przyjaźny z wami zawiązać stosunek. Objawiasz życzenie, żebyśmy nadal korespondowały z sobą, lubo jako dorastająca panienka zmuszoną będziesz niebawem zamienić „*Wieczory*” na poważniejszej treści pismo. Na żądanie twoje przystałabym z ochotą, ów jednak piśmienny stosunek nasz nie mógłby być utrzymany tylko za pośrednictwem Redakcji, która nie odmówi nam w tem pewnie swej pomocy. Ja bowiem nie mogę i nie chcę inaczej być wam znaną jak pod pseudonymem *Jaskółki*. Co zaś do żądanej na pamiątkę fotografii mojej, z chwilą gdy tylko aparaty fotograficzne wejdą w użycie wśród ptasiego rodu, nie omieszkam życzeniu twemu zadość uczynić, jako szczerze wdzięczna za okazaną sobie życzliwość:

Jaskółka.

